Nr. 59. Lwów — 1889 r. Rok XII.

Numer pojedyńczy 15 ct.

ISKRA

Numer pojedyńczy 15 ct.

Czasopismo dla wszystkich illustrowane.

„Goniec“ i **„Iskra“** wychodzą każde po dwa razy na miesiąc, w czwartki — razem cztery razy. Prenumerata *na obydwa pisma* wynosi tak w miejscu, jak i na prowincji kwartalnie 2 złr., półrocznie **4** złr., rocznie 8 złr. **W** poznańskiem i w Niemczech **16** marek rocznie, we Francji i innych krajach, oraz w Ameryce północnej 20 franków (4 dolary); rocznie w Ameryce południowej, w Brazylji, Australji i innych krajach zaoceanowych 25 franków — stosunkowo na kwartał i pół roku. Za ogłoszenia opłaca się 8 ct. za wiersz drobnem pismem, lub za jego miejsce. Opłata od ogłoszeń większych stosownie do umowy Za granicą ogłoszenia przyjmują wszystkie biura ogłoszeń. Prenumeratę i wszelkie należytości przesełać najdogodniej przekazami pocztowymi, lub w listach rekomendowanych, albo pieniężnych: **do Administracji „Gońca“ i „Iskry“ we Lwowie, ulica Kraszewskiego l. 23.** Z Ameryki najdogodniej przesełać prenumeratę dolarami papierowymi *w listach rekomendowanych.* Listy powinny być frankowane. Numera odnoszą się zawsze do mieszkania każdego miejscowego prenumeratora. Za odnoszenie do mieszkania numerów, dopłaca się roznosicielowi drobną kwotę co miesiąc.

Właściciel i naczelny redaktor: ***M. D. Chamski.***

Dobra wiadomość ale...



— Widzisz, donosi mi siostra, że naszej Mani oświadczył się bardzo porządny młody człowiek, dyrektor kopalni... Zawsze to dobrze wysłać czasem córkę po za dom — inne strony, inni ludzie, inne stosunki, inne wymagania...

— Ba, znajdź mi takie strony, gdzie, oprócz córki, nic nie wymagają od rodziców — to zobaczysz, że za miesiąc będzie tam przeludnienie panien — i kurs ich zaraz spadnie... A co do tego dyrektora kopalni, to on nic u mnie nie wykopie, choćby założył świder kanadyjski... Odpisz — że to siostrze...

Od Administracji.

Szanownych pp. abonentów zalegających w prenumeracie, prosimy usilnie o odnowienie bieżącej i zalegającej prenumeraty, gdyż zaległości takie są dla wydawnictwa bardzo uciążliwe i po prostu krzywdę jego interesom wyrządzają. Zwracamy też bliższą uwagę pp. prenumeratorów w Ameryce zamieszkałych i prosimy ich o odsełanie zaległej prenumeraty, bo osobna z nimi korespondencja jest kosztowna.

Wszelkie pieniężne należytości prz sełać należy w liście rekomendowanym, lub przekazem pocztowym **do Administracji „Gońca” i „Iskry” we Lwowie ul. Kraszewskiego liczba 23.**

Z kwiatka na kwiatek...

= Lalki gadające...

Wynalazł je znowu Edisson, ale gdyby ktoś wymyślił dzisiaj cztery działania arytmetyczne, odkrycie jego równałoby się zupełnie wartością temu wynalazkowi Edissonowskiemu. A toż te lalki gadające są jedną z najcięższych plag, jakie trapią świat i ludzkość w tym wieku XIX-tym!... Ktoby wynalazł przyrząd, któryby je mowy pozbawił, ten dopiero prawdziwą oddałby społeczeństwu usługę!

= Gardlany obrachunek...

Obliczono, że Adelina Patti podczas nowego swego objazdu po Ameryce, będzie brała po 10 franków za — sekundę tego trylu, tak, że gdyby po takiej cenie śpiewała tylko 24 godzin na miesiąc, w przeciągu jednego roku zarobiłaby 10,368.000 franków.

= Ładny wiek i ładne potomstwo..

W Australji w mieście Parakutta, w obwodzie Sydnej, zmarła kobieta licząca lat 114! Angielka ta, przypłynąwszy do tego najnowszego świata, gdzie mąż jej otrzymał urzędową posadę, w wieku lat 28, nie spodziewała się zapewne, że na nowej siedzibie przeżyje jeszcze lat 86. A przeżyła je krzepko i zdrowo, była zawsze żwawa, ruchliwa, wyglądała najwyżej na 70 lat, a przytomność umysłu zachowała aż do samej śmierci, która zeszła ją nagle, bez cierpień. Na jej pogrzeb zebrało się tylko 600 potomków w prostej linji...

= Kronika żałobna.

Jakoś najczęściej przypada kolej na wesołą „Iskrę“ notować śmierć tych, którzy z niw literatury, sztuki, nauki, lub innej działalności społecznej, schodzą powoli i kładą się na wiekuisty spoczynek do grobów...

W Zakopanem zmarł mąż wielkich zasług, wielkich cnót i chluba nauki polskiej ś. p. Dr. Tytus Chałubiński... Dziś na tej notatce poprzestajemy, gdyż w jednym z najbliższych numerów "Gońca“ podamy portret zmarłego z obszerniejszym życiorysem.

W Warszawie umarła znana u nas i po części w Europie śpiewaczka ś p. Teodozja Friderici-Jabowicka przeżywszy pięćdziesiąt kilka lat. Zmarła w swoim czasie odznaczała się niepospolitym wokalnym talentem, który, jednak, w ostatnich latach podupadł — trudniła się w Warszawie lekcjami śpiewu, które zaledwie bardzo skromne dawały utrzymanie. Ostatnie lata życia były ciężkie i bolesne dla polskiej artystki, jak się często trafia... w Polsce..

Słówko Kajcia z Kolomyi o chorobie i parni.

(Żywcem z życia wzięty monolog).

— Ach! ojoj! jak to boli, aj! ten reumatyzm, co teraz za powietrze, eine abscheuliche Luft panie dobrodzieju, do tego te gazety! jaki ja bidny, jaki ja bidny, trudno mi znaleść spokojnego miesca, a ja tak spokój lubię. Wszystko się widać na mnie uwzięło, a cóż ja winien, że mam taką zajęczą, t. j. chciałem powiedzieć spokojną naturę Jagem w „Kurjerku“ za tę wojnę wyczytał, to dalibóg, ojoj! niestrawności dostałem i kwasów żołądkowych, ach! te kwasy, te kwasy, one mi całe życie zatruwają. Wszystkie nieszczęścia walą we mnie, jak młotem, a kochany reumatyzm spać mi nie daje; te kwasy żołądkowe nie dają mi znowu zjeść po ludzku, dlatego też wiecznie jestem głodny. A ten przemądry doktór mówi mi: »Uważaj pan na dyetę“. A ja tymczasem żyję skromniutko, jak wróbel w zimie cóż dziś n. p. takiego zjadłem na obiad? Ha! no, talerz rosołu, no cóż, to sama woda, potem sztuka-mięs z ogórkami, to też nic, potem chudego kurczaka z kompotem, no, kompot sam doktor mi przecież zalecił, potem pieczeń baranią, no cóż to jest? zresztą, baraninka dla chorych specjał, lekkie to, pożywne, no i smaczne. — Do tego skromnego objadku, bo przecież sztrudla z jabłkami nie ma co liczyć, wypiłem 3. halbki naszego domorodnego werbiązkiego piwska, lekkie, jak woda i tanie, jak barszcz. — No was ist, wielka rzecz, a co nie mówiłem, że jem, jak wróbel. — A żebyście państwo wiedzieli, jak to człowiek nawet taki skromny obiadek musi odpokutować: w żołądku mi dudni i huczy i burczy, aż strach! telo, że człowiek miał już czas nawyknąć do tej katzenmuzyki po brzuchu — bo to codzień tak proszę państwa. — Kiedyśtu byłem u Jańcia na jakimś feście, urżnąłem się nieco, no i złapałem potem kacenjamra, otóż, jak mnie tam u Jancia hurkotanie napadło, jak mnie nie zacznie gnieść, a dusić, jak jaka zjadliwa zmora, to wiecie państwo, o mało, o mało, żem się nie... skręcił z bolu. — A tu mi jeszcze ten Kuba mówi: „Żeń się Kajciu, baba ci już kwasy odegna, abo to prawda? e! to durnemu gadać. — Jak mi już ta rewolucja do żywego doje, to idę się ratować do pana Bazylego.

Pan Bazyli, to nie żaden doktór ani broń Boże taki apteczny Flastenschmierer, o! nie, to sobie zwykły pan Bazyli, ojciec gospodni, jak go nazywają w parni, współwłaściciel katolickiej parni. — Już to Bogiem, a prawdą telo ten szwic i ta zdrowotna para utrzymują mnie jeszcze na tych kiepskich nogach. — Gdziebym ja dziś był, jakby nie szwic, nie ma dolegliwości, na którąby cierpiąca ludzkość, jak powiada Bazyli nie znalazła ratunku w tej czystej destilowanej parze. — Para, to rechtelny i jedyny środek na te wszystkie paskudztwa i choróbska mówi Bazyli, bo powiada: „Masz katar — idź do szwicu — jak ręką odjął; boli cię głowa? — szwic i tusz, boli ząb? — jak parnia nie pomoże, a to już chyba ten, że zęby rwie — ale spróbować nie zaszkodzi. — Słowem, para leczy nawet suchoty, głuchotę, ślepotę i jak się pan Bazyli raz „zadalibukował“ nawet na złą żonę pomoże — w jaki sposób, to już sekret, proszę się zapytać samego pana Bazylego. — Jużto, kobiet poczciwy Bazyli strawić nie może; mnie bardzo lubi, bo powiada: „My oba mamo pański rozum, tfu! mało człek ma kłopotu z tymi złodziejami szwicowymi, coby ciekawa ze szkury, jak dzikie zwiruki odarli, jeszcze mi tam trzeba baby, ah“! I ma recht, bo jak powiada, baby nie telo, że skąpe, ale po ich kąpieli to strach szo za robota. — Bo to lezie do szwicu, z mąką, cegłą, murem, szmalcem, węglem, watą, kłakami itd. — wszystko to z przeproszeniem „świnctwo“, cała parnia po takiej kąpieli wygląda, jak chlewik, albo co?

Jak przyjdziesz do szwicu, to ci się zdaje, żeś w raju, bo to panie dobrodzieju za kiepskie dwie szóstki Jóżko ci buty zdejmie w przedpokoju, czy jak tam mówią w forcimrze, rzeczy poskładasz w numerowanej szafce, dadzą ci prześcieradło, zawiną, jak pocztowego śledzia i tak leżysz na ceratowej sofce i czekasz rechto ochłodniesz. — A nudno ci tam nie będzie, bo jak pójdziesz w sobotę tak, jak ja, to tam gości aż strach, zwyczajnie, jak przed świętem, każdy chce się wyparzyć i wykąpać. — A co to za goście „same szlachetne panowe“, jak mówi Bazyli, bo i ten tłuścioch ks. Obojczyk, co ten ci tam wiców nie puści i ci dwaj emeryci, co to, jak zaczną o swych dolegliwościach, a mankamentach gadać, to zaczynają od włosów, jakie im jeszcze z łysiny nie wylazły, a kończą na nagniotkach, co im je Jóżko wyskrobuje, zdziwisz się nie mało, że te biedaki jeszcze żyją, ino Bazyli się nie dziwi, bo powiada. „A cóż to panowe, a parnia od czego; awo nasz dziaduś (tj. właściciel parni) ma już coś ze sto roków, a że się dwa razy dziennie parzy, to i zdrów, chudy, jak szczypa, ale „zaużdy“ duch mu się po kościach kołacze“. — A jak znowu zacznie ten mały garbusek ten zjadliwy Pyskaczek, biednego Bazylego naciągać, to warta słuchać — poczciwy Bazyli wije się, niby piskorz. „Bo to toj zjadliwy garbus, to gorż Incyfra“, jak p. Bazyli powiada „złe to jak osa, ale zaużdy szlachetny to pan“. — Wreszcie uśmiawszy się do syta, ochłodłszy zupełnie idę do szwicu — Lezę od razu na najwyższy stopień, bo mnie parnia nie nowina, kładę się na deskę i wdycham ten balsam zdrowotny — Jak mi już krople z pod skóry wyjdą, gdy już się zarumienię, jak ugotowany rak, krzyczę „Józiek, a chodzino“! Józiek już wi, co ma robić, bo to sztuderny chłop — leje mi wodę cebrami na łeb, potem chwyta za wiecheć, bo ja się szczotką brzydzę i, jak mnie nie zacznie wycierać, a smarować, a brzuch ugniatać, a nogi reibować, to dopiro wszystkie złe na wierzch wylazi. Teraz dopiro następuje największy wiwat, idę do drugiej salki, gdzie są tusze, to mi raj panie dobrodzieju, otwieram wszystkie kurki, woda szprycuje ze wszystkich stron aż miło — tu cię strumień wody wali po łysinie, tu ci deszcz rżnie na krzyże, a w dole inny prysznic, poprzeczne prądy wody elektryzują ci niedołężne nogi. — Używszy do syta wszelkich dobroci szwicowych, urządziwszy na dodatek komocję i szwedzką gimnastykę, wołam Jóżka i każę sobie zgrzebnem płótnem tęgo skórę wyrajbować, potem się kładę na sofkę, Jóżko mnie zawija, jak zraz i tak leżę z godzinę jak nieprzymierzając nieboszczyk na marach, tylko, że mi się z czupryny kurzy, więc znać, żem żywy. — Gdy się przyzwoicie prześpię, wstaję z mego miesca, ubieram się, piję szklankę klasztornej wody, daję Jóżkowi, jagem w dobrym humorze czwóraka na piwo i — marsz do domu

Siła by gadać o mej chorobie, szwicu i panu Bazylim no, ale trzeba coś i na drugi raz zostawić.

Tadeusz Granicki.

Dwaj Anieli.

Legenda Zaduszna.

Na blaskach tęczowych dwaj bracia Anieli,
Nad światem, dłoń w dłoni, płynęli pospołem;
Promienni obadwaj, i jaśni, i bieli:
To Anioł był życia, wraz z śmierci Aniołem.

Spojrzeli ku ziemi. Tam spokój głęboki —
I cisza, i ciemność ten padół okryły —
I tylko czasami, w pośrodku pomroki,
Świetlane się plamy tu, owdzie jarzyły.

I zdało się obu, że pośród tej ciszy,
Ku niebu jasnemu, z ludzkiego tam świata —
(Czegóż bo anielskie ucho nie dosłyszy) —
Żałosnej szmer skargi i mgła łez ulata...

Dzień to był Zaduszny. Na grobach kochanych
Paliły się światła, płomyki wspomnienia,
I drżał żal serdeczny na twarzach spłakanych,
I piersią zbolałą wstrząsały westchnienia...

I obaj Anieli w swym locie stanęli
Na widok tej nędzy człowieczej z daleki —
Nad ziemią, nad czarną, na skrzydłach zwisnęli,
Łzą rzewną anielskie nabrzmiały powieki.

I wraz Anioł śmierci: — „Rozstańmy się rzecze —
Nad dolą, nad ludzką, łez wstrzymać nie mogę,
A kiedy łza moja na ziemię pociecze,
Śmierć rodzi — więc w inną popłynę ja drogę.

Nad piaski bezludne, gdzie pustka dokoła,
Popłynę łzy moje wypłakać obficie; —
Ty leć ponad łany, nad miasta, nad sioła,
I płacz, drogi bracie, bo łza twa — to życie“!

I jeden nad puszcze, a drugi nad sioła
Wionęli. Lecz wiatry złośliwe, jak wiecie,
Łzy ku nam przynoszą dobrego Anioła,
I ludzie dlatego mrą często na świecie...

E. J.

Złowroga piękność.

Przekład z angielskiego **E. H.**

przez autorkę „Miłość jego życia“.

(Ciąg dalszy, patrz Nr. 48 „Gońca“).

Vida pomimo woli uczuła się dziwnie wzruszoną. Ten hołd milczący i głęboki nie pochlebił, bynajmniej, jej miłości własnej. W rzeczy samej, młoda dziewczyna nie posiadała wcale próżności kobiecej Nie było w tem nic poziomego, lecz uczuła zbliżenie się człowieka stojącego wyżej po nad tłumem, a chociaż nienawidziła Dawe Devereux'go i postanowiła mu szkodzić, doznała wrażenia, jakby usłyszała przyjemną i sympatyczną muzykę.

Dwoje tych ludzi, których spotkanie tak ważnem dla obojga stać się miało, zamienili z sobą parę obojętnych wyrazów, następnie nadeszła Helena Leicester, przypomnieć się staremu przyjacielowi, ponieważ Devereux znał ją dziewczynką i nazywał po imieniu, lecz od czasu, gdy się widzieli po raz ostatni, upłynął rok cały.

— Witam cię, panno Heleno, — rzekł z jasnym uśmiechem, podając jej rękę, — jakże się pani powodziło w świecie? — Ile serc skruszyłaś od czasu, gdym pożegnał białe skały Albionu?

— O ile mi wiadomo, ani jednego, — odpowiedziała Helena z uśmiechem, rumieńcem i radosnym błyskiem oczu. — Nie zmieniłeś się pan, ani trochę.

— Czemużbym się miał zmienić? Przecież rok to nie wiek, nieprawdaż?

— Zależy to od poglądu i okoliczności. Czasem miesiąc długim się wydaje.

— Jeśli go spędzić trzeba w ponurym domu, na wsi, — rzekł Devereux, — lub oczekując końca procesu.

— Nie nie wiem o procesach, — rzekła nadąsana Helena, — ani o ponurych domach na wsi. Jesteś pan takim...

— Ach, — przerwał z żywością Devereux, — nie możesz pani mieć pojęcia o ponurych domach wiejskich, ponieważ żaden dom smutnym być nie może, skoro pani w nim zamieszkasz. Ale sir Henryk Carysford patrzy na mnie wzrokiem bazyliszka, a pojedynki wyszły z mody, wolę unikać kłótni. — Z temi słowy skłonił się i odwrócił do innej damy, z którą rozpoczął rozmowę.

Vida nieznacznie śledząca tę szermierkę, uśmiechnęła się w duchu.

— Helena Leicester nie jest moją rywalką, — pomyślała, — gdyż inaczej człowiek tak światowy i ugrzeczniony nie traktowałby jej w podobny sposób. Najprzód, nie byłby powiedział, że rok to czas krótki, a powtóre nie zostawałby z daleka od niej przez tak długo, zwłaszcza bez żadnej prawdopodobnie ważnej przyczyny. Sądzę zresztą, ze nie mógłby kochać takiej, jak ta kobiety. Cieszy mnie to; nie lubię wyrządzać krzywdy, jeśli tylko mogę tego uniknąć.

Helena Leicester wcale z tego nie była rada, że ją odrzucono Henrykowi Carysford, i miała wielki żal do Devereux'go, iż w ten sposób, w obec towarzystwa, przyznawał nad nią innemu prawo.

Następstwa tego smutne były dla Carysforda, miss Helena traktowała go tak niemiłosiernie i pogardliwie, że przez resztę wieczoru nie śmiał się prawie odezwać do niej.

A Dave Davereux znalazł się u boku Vidy. Co prawda, syrena ta wszystkich ku sobie pociągała. Helena, zresztą, myślała naturalnie, że Vida wabi Devereux'go, lecz w istocie, nie ona do niego, ale on się starał zbliżyć ku niej, a gdy jej podał ramię, aby ją zaprowadzić do stołu, na którym przygotowano herbatę, przyjęła je z jednym z tych swoich przelotnych, słonecznych uśmiechów, który on zauważył, chociaż mniej wytrawny spostrzegacz nie byłby go dojrzał — tak on się przemknął nieznacznie po jej ustach.

Vida nie zachwiała się w postanowieniu swojem. Ręka, którą oparła na ramieniu Devereux'go nie zadrżała. Rozmawiała i śmiała się ze zwykłą swobodą i dowcipem gdy szli razem, a przez cały ten czas, w sercu czuła piekący żar krzywdy przez niego wyrządzonej.

Ten człowiek, tak pięknej i sympatycznej powierzchowności, o wzroku wyrażającym nieraz tyle słodyczy, o ustach tkliwych, jak usta kobiety, bez miłosierdzia i wyrzutów sumienia prześladował bezbronną kobietę, która tem zawiniła jedynie, że była taką jak wszyscy. Mogła wyczytać z jego twarzy, że to była natura zdolna do namiętnej, potężnej, wyłącznej miłości; że zatem mógł on również nienawidzieć silnie, bez litości, a chociaż rysy jego czoła i ust oznaczały stałość i wyniosłość, tyle w nim było prawości, cała jego postać taką szlachetnością tchnęła, że niepodobna było posądzić go nawet o niesprawiedliwość, lub okrucieństwo. A jednak Dave Devereux był poprzednio i dotąd jeszcze okrutnym i niesprawiedliwym.

— Sądzę, — rzekł, — że wypadałoby mi, według przyjętego zwyczaju, zadać pani kilka pytań i zrobić parę stosownych do okoliczności uwag, naprzykład: Co pani sądzi o Academy? Co o Grosvenorze? Pikniki lady Mansfield są zachwycające, etc.; lecz musiałaś pani słyszeć to tyle razy — a że nie mogę porównywać uwag pani z własnemi co do wystawy, ponieważ na niej nie byłem, utrudziłaby panią rola sprawozdawcy.

— Nie myli się pan, żeby mi to wcale przyjemnem nie było, szczególniej, gdy tak niewiele jest rzeczy godnych uwagi, lecz jestem panu szczerze wdzięczną, że mi pan nie robi zwykłych zapytań. Mam szczególny wstręt do wszystkiego, co się czyni jedynie dla względów światowych — nieprawdaż, że to bardzo naganne uczucie?

— Sympatyzuję z panią w tym względzie zupełnie. Nigdy w życiu nie szedłem cudzym śladem.

— Ale pan jesteś mężczyzną, a ja kobietą; to stanowi ogromną różnicę. Panu wolno być ekscentrycznym, we mnie nazwą to przesadą.

— Trudno, żeby osobiście panią, miss Carolan, zarzut podobny mógł spotkać. Słowa moje są tak oczywistą prawdą, że ich pani nie weźmie za pustą grzeczność.

— Dobrze, — odrzekła śmiejąc się Vida, jeśli nawet przyjmiemy słowa pańskie w rachubę, w każdym razie od kobiety wymagają, aby była taką, jak inne; nie sądzę, aby te wyjątki, które sobie pozwalają używać szczególnych przywilejów i wykazywać indywidualność swoją, przyczyniły się do zniesienia tego względem nas zakorzenionego przesądu.

— Wiem, że wymagają od kobiet, aby nie odstępowały od form przyjętych, że je potępiają, jeśli bez wyjątkowo ważnych powodów łamią prawa światowe; lecz niech pani nie sądzi, że jestem zwolennikiem ograniczeń podobnych. Nie rozumiem, dlaczegoby nie miało być wolno kobiecie zachowywać swą odrębną indywidualność, zarówno, jak mężczyźnie. Zresztą, silne i wybitne charaktery po większej części dochodzą do tego, że się emancypują same; lecz też je to kosztuje wysiłków, bolów i skandalu, w oczach oburzonych krewnych i przyjaciół! A tysiące takich, które nie mają odwagi zerwać więzów zwyczaju, spadają do rzędu istot nic nieznaczących, kiedy mogły być światłemi i wykształconemi kobietami.

Serce Vidy uderzało silnie, gdy słuchała słów swego towarzysza.

— Czyżby on miał odwagę, — pomyślała, — obstawać przy swojem zdaniu? Czy też, podobnie, jak u tylu innych, gdyby wypadło zastosować teorję w praktyce, okazałoby się, że jego słowa były czczym dźwiękiem? Może nie wie, jak wiele ona sama wykracza przeciw konwencjonalnym zwyczajom, które ganiła, a gdy się o tem dowie, nie obejdzie go to wcale, lecz obecnie...

Tu młoda dziewczyna zadrżała w obec myśli, która jej się nasunała. Przypomniała sobie, w jakim celu poznać go pragnęła, i postanowiła na nowo nie cofnąć się przed zemstą.

— Czybyś pan życzył sobie, — rzekła obojętnie, — aby siostra pana miała tak niezależny pogląd?

— Czyż zdołam przekonać panią, że jestem szczerym, jeśli uroczyście odpowiem: „tak“? Nie mam siostry, ani żadnej blizkiej krewnej — nikogo, prócz kuzynek.

— A te nie wchodzą w rachubę, — dorzuciła lekko Vida.

Ponieważ zbliżyli się już do stołu, przy którym było więcej osób, rozmowa nieco za poważna, jak na gawędkę światową, przerwała się z konieczności i dalej już tylko bawiono się dowcipnemi słówkami.

Pobożne życzenie.



— No, już mamy sześć domów, gdzie można co tydzień zjeść dobrą kolację, i często na objad zapraszają...

— Żeby tak jeszcze znaleść, choć jeden, dom, gdzieby można pieniędzy pożyczać — to już byłby cały tydzień spokojny...

W pół godziny później, Dave Devereux znalazł się sam na sam z Heleną Leicester. Siedzieli obok siebie pod drzewem, a w około był gwar i ruch taki, że z równą swobodą rozmawiać mogli, jakby prócz nich na milę nie było żywego ducha.

— Heleno, — zapytał Dave przyciszonym głosem, kto jest ta Vida Carolan, która, jak się zdaje, świat szturmem zdobyła, czemu się dziwić niepodobna.

Helena zmarszczyła czoło i rozśmiała się.

— Może mały ptaszek powie panu kto ona jest! — odpowiedziała. — Ja tego nie wiem i nikt inny także. Do niej zastosować można słowa: „veni, vidi, vici". Według mnie, to awanturnica. Cóż jeszcze?

Devereux usunął się nieco i oczy jego instynktowo pogoniły za kształtną postacią Vidy, przesuwającą się nieco w oddaleniu pod drzewami.

— Awanturnica, to zbyt ostro, rzekł; — pewnie muszą obiegać jakieś wieści o jej rodzinie?

— Nic wcale. Mówią, że pochodzi z dobrego rodu z jednego hrabstw wschodnich; lecz to tylko wieści i nic więcej. Przybyła ze stałego lądu; prawdopodobnie jest na poł cudzoziemską; urządziła się w domu przy ulicy Hertford, a mieszka z nią tylko stara duegna, nie krewna, jak sądzę, dla zachowania pozorów. Nie zaprzeczam jej piękności i talentów, lecz sądzę, że należałoby mieć jakieś rękojmie, nim się tak zupełnie przyjmie do swego grona jakąś obcą osobę, przybyłą niewiadomo zkąd. Pan szczególniej, więcej, niż ktokolwiekbądź, powinienbyś stanąć po mojej stronie w tym względzie. Jesteś tak drażliwym odnośnie do urodzenia i stosunków familijnych.

— W jej żyłach płynie krew szlachetna, rzekł z żywością Devereux, wymijającą Helenie dając odpowiedz.

— Bardzo być może, — odrzekła, chłodząc się wachlarzem, — a jednak nie daje na to żadnego dowodu.

— Cóż ztąd, Heleno? Towarzystwo dzisiejsze nie jest już takiem, jak za czasów naszych ojców.

— To prawda; wówczas pytano, kim jest kobieta, nim jej otworzono drzwi swojego domu; dziś, dość tylko, aby była bogatą i piękną, rzeczywiście, lub z pozoru, a może zrobić los świetny; im zaś więcej jest cyganką, tem bardziej ją podziwiają.

— Jesteś bardzo wymowną, panno Heleno, — rzekł złośliwie Devereux. — Dodajesz mi niemal ochoty, żebym się zapisał na listę wielbicieli *divy*.

— Aby prawdopodobnie otrzymać odprawę, jak wszyscy, dokończyła Helena. — mówmy lepiej o czem innem. Tyle się nasłuchałam o Vidzie Carolan, że mi się sprzykrzyło samo jej nazwisko.

— Do usług. Wybierz sama przedmiot do rozmowy, z wyjątkiem mody i strojów, a postaram się dostroić do twego życzenia.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Kronika z tamtego świata.

VI.

Bez przechwałek. Nasze stosunki z Kairem i Aleksandrją. Handel miodem i pszczołami. Obaj Kuni Lemel i pewne przedsiębiorstwo. „Niby małżeństwa" we Lwowie. Projekt p. Świętochowskiego, co do pochowania zwłok ś. p. Chałubińskiego. Moje zdanie.

„Bez przechwałek", jak powiada rejent w „Panu Domazym" — mamy i my pewne znaczenie handlowe nietylko w Europie z Portugalją i Macedonją — ale nawet w Afryce... Kto wie, czy z tego powodu nie przyrośnie znowu jaka brodawka nienawiści księciu Bismarckowi do nas, którego, jak wiadomo, Afryka, jest obecnie słabą stroną. Także sobie kanclerz niemiecki wynalazł na starość afrykańskie sznycle mając w swojem *faterlandzie* tyle wielkopolskich baranów do zjadania.

Tak jest, proszę państwa, naszą „ściślejszą" ojczyznę ściska, istotnie, przemysł czeski, austrjacki i węgierski, aż jej oczy na wierzch wyłażą, więc zawiązała stosunki z Afryką... W sferach lwowskiej giełdy czarnej, szarej i obdartej, zrobiła nie małe wrażenie okoliczność, że do Lwowa przybyło dwóch kupców z Kairu i Aleksandrji celem zakupywania miodeł i pszczół... Wiadomo, że na Wschodzie potrzeba bardzo wiele rozmaitego miodu, a polskie pszczółki, najładniejsze zdaniem naturalistów w pszczolim rodzie, dostarczają miodu nierównie słodszego, aniżeli inne pszczoły... O tem na dalekim Wschodzie nie od dzisiaj wiedzą — tylko, że dawniej hordy tatarskie i tureckie grasujące po ziemiach lackich i ruskich, rabowały ten miód i polskie pszczoły porywano do Stambułu i Egiptu osadzając je w tamtejszych ulach — dziś, bez żadnych gwałtów, porządni kupcy zrobili to przedmiotem międzynarodowego handlu... Ale obaj Kuni Lemel, rozejrzawszy się w tutejszych przemysłowych stosunkach, przyszli do przekonania, że nie tak to łatwo o ten miód i pszczoły polskie, więc objęli pod cudzą firmą przedsiębiorstwo, które może im być pomocne do handlu miodem i pszczołami, bo to dziś handel chadza różnemi drogami, a u nas w Galicji takiemi nieraz strasznie krętemi ścieżkami, że uczciwy człowiek połamie sobie nogi, powybija zęby i w dodatku poturbują go w sądzie, a handlarz np. miodem i pszczołami, knty na ręce, nogi, nos, oczy i uszy, wywinie się od

W salonie.



— Apropos — jakże się panu »Pepa« podobała?

— O, bardzo!... Wieje z niej duch prawdziwego salonu...

— I więcej nic?...

— Więcej nie uważałem — daję słowo — pardon!...

Nie potrzeba...



— Kupiłem umyślnie papugę, aby ci przypominała co chwila twoje obowiązki... bo właśnie ten ptak mówi stosowne wyrazy...

No, to i ty sobie, mój mężu, kup drugą popugę, aby ci przypominała twoje obowiązki.

— Nie potrzeba — mam ciebie...

czyhających Lecoq'ów i jeszcze obrośnie w pierze...

Poprzestaję dziś na tej notatce handlowej, chociaż dałoby się jeszcze dużo powiedzieć, zwłaszcza, że to przedsiębiorstwo, o które się zaczepili obaj Kuni Lemel, jest pod wieloma względami bardzo ciekawe i ugarnirowane w indywidua przypominające ekscentryczne sympatje Chamillac'a z komedji francuskiej... Jednak o tem — potem...

My, bo uważamy się zawsze za strasznie moralnych — pomimo to, gdyby tak kto zadał sobie pracę, z kredką w ręku obliczył nasze „niemoralności“ np. w Warszawie, we Lwowie, albo w Krakowie i porównał zachowując, oczywiście, stosunek cyfr i okoliczności, z Paryżem, uważanym u nas za otchłań zepsucia — to, niezawodnie, bylibyśmy „niemoralniejsi“ pod wieloma względami... Ot np. niema miasta w Europie, któreby stosunkowo do liczby mieszkańców, posiadało takie mnóstwo *niby małżeństwo*, jak Lwów... Nie ulega wątpliwości, że w biedniejszej, mianowicie, klasie ludzi, pary żyjące *na wiarę*, równają się, co najmniej, liczbie legalnych małżeństw... Taka luźność i przypadkowość tworzy, bądź, co bądź fałszywe rodziny, jest, niezawodnie, jednym z największych powodów zanikania cnót w niższych sferach mieszkańców miasta, od których chłop ze wsi przy wszystkich swoich wadach, pod tym względem, niezmiernie się różni — ale też życie *na wiarę* na wsi jest tak rzadkie, że o tych, którzy to praktykują, wie cała dalsza okolica i pokazuje ich palcem... Jest, podobno, we Lwowie, jakieś humanitarne towarzystwo, które propaguje przemienienie, *niby małżeństw* na rzeczywiste małżeństwa, ale ciężka to praca wyszukiwać po różnych norach takich samców i samiczek, które bardzo często łapią datek im ofiarowany i wyprowadzają w pole tych, którzy ich pragną zaprowadzić przed ołtarz... W tę sprawę powinnoby się wdać duchowieństwo parafjalne z magistracką policją i dopomódz takiemu humanitarnemu towarzystwu...

Ale u nas od wielkiego ołtarza intelligencji padają, nieraz, słowa, jakby umyślnie wymierzane na obniżenie tej ogólnej, podstawowej moralności u ludu, o którą nam tak wszystkim chodzi... Niedaleko szukać. P. Aleksander Świętochowski, redaktor warszawskiej „Prawdy“ proponuje w „Kurjerze Warszawskim“, aby ś. p. Chałubińskiego pochować w Zakopanem, nie na tamtejszym wiejskim cmentarzu, lecz gdzieś na szczycie Tatr, gdyż zdaniem p. S. byłoby to poetyczne i oddałoby się tym sposobem wyjątkową cześć zmarłemu...

Można być pozytywistą, socjalistą, djurnistą i kapitalistą — ale, aby wyjechać z takim projektem wśród naszych stosunków, trzeba mieć trochę bzika.. Strasznie to jakaś rozczochrana poezja, która radzi, aby zwłoki zasłużonego człowieka chować gdzieś na *rozstajnych drogach!..*

Chałubiński ukochał lud tatrzański, który go też otaczał szczególniejszą czcią, prawdziwie, jak króla — czyż dla takiego człowieka nienajstosowniejsza mogiła na cichym, pięknym cmentarzu zakopańskim wśród tych, których tak kochał za życia i którzy jego kochali?...

Co innego pomnik dla Chałubińskiego — ten powinien stanąć gdzieś w pięknem i imponującem miejscu Tatr — ale mogiła przezacnego męża i chluby narodu — niech się przytuli do mogił tych, których kochał nie słowami, lecz czynem... *Nieboszczyk Lam.*

Von Kramst

przez

Autorkę „Opowiadań“.

(Ciąg dalszy patrz „Gońca“ Nr. 48).

VII.

Sprawa napadu upadła, chodziło o to, kto zakłócił spokojność publiczną, rozsianiem fałszywych wieści.

Po odjeździe pana naczelnika, zebrała się gromadka ciekawych przed gminą. I znowu Dąbrowski miał powód do zdziwienia: oto, warchoł, pijanica, Jasiek przemawiał, jak z ambony do zebranych.

— Nic, jeno gorzałczysko podaje na marność duszę ludzką — mówił. — Człek się nażłopie tego licha i zaraz ci z djabłem się kuma... Oj, cudowna Matko Częstochowska! — zawołał — toć Wy niebogo, płaczecie, w swym świętym obrazie, z żałości nad naszemi duszami. Będziewa się kajali przed onym świętym płaczem... a gorzałki, co nie, to nie!... Boże bądź miłościw nam grzesznym! — zakończył, waląc się w piersi kułakiem.

Obecni poczęli obcierać nosy, bo ich zdjęła okrutna jakaś rzewliwość na ten publiczny akt skruchy chłopa, który był znany, jak zły szeląg, z różnej niecnoty.

Tymczasem Michaś dowiedziawszy się, że panna Zapolska jest w chacie Bartka, wysunął się na wieś cichaczem.

Wieść o rozboju w Żerdzi przeraziła go; żal mu było tego von Kramsta, który swawolnie poniewierał ludźmi, a który niewątpliwie naraził się na niebezpieczeństwo, z powodu lekceważenia ludzi. Było coś w Włodzimierzu, co oburzało młodego Siedlickiego, ale w tem coś tkwiła sztuczność jakaś, z wyraźną usilnością tłumienia w sobie szlachetnych porywów. Michaś zawrócił z drogi, bo szło mu o von Kramsta.

— Zkąd jednak powstało tak dziwne przekręcenie faktu? — zapytywał siebie teraz. Lecz napróżno męczył głowę dociekaniem zagadki — i tak doszedł do chaty Bartka.

Panna Zapolska siedziała na zydlu, przy łożu snać chorego gospodarza. Widok Michasia zmieszał ją nieco, była pewną, że chłopiec przychodził z Wilczanki; nie wiedziała nic, o jego wczorajszej przygodzie w pałacu von Kramsta.

— Mów pan, co tam słychać? — zagadnęła z lekkiem drżeniem w głosie.

— Nic nie wiem, panno Jadwigo, od pani właśnie chciałbym się czegoś dowiedzieć.

Wyszli oboje do sadu, przy chałupie: tu Michaś opowiedział jej szczerze całą swą rozmowę wczorajszą z von Kramstem. Chłopiec nie mógł sobie darować, że się zbliżył do człowieka szatana, że się dał uwieść jego niedostojnej sile, którą cechuje jakaś zaciekła złośliwość wobec człowieczeństwa.

— To szkodliwa istota, — dodał — takie natury opętane, są posłannikami fatalności na ziemi.

— A jednak, panie Michale, trzeba, żebyś pan wrócił do niego, trzeba, żebyś pan teraz był przy nim.

— Nie, pani, tego nie zrobię! — wzbraniał się chłopiec. — Skończona komedja!... znać nie chcę von Kramsta!

Wtedy panna Zapolska poczęła coś cicho szeptać, prawie na ucho Michasia; szept ten trwał długo, Michaś nic nie odpowiadał, lecz słuchał pilnie, żeby nie stracić wyrazu z tych cichych zwierzań; a gdy znów głośno wyrzekła: — trzeba, bo to obowiązek! — chłopiec powtórzył za nią: — trzeba!

Teraz powrócili do izby. Jadwiga przewinęła jeszcze ramię Bartka; jutro znów tu będzie, tymczasem poleciła Bartkowej okładanie ramienia płatkami zwilżonymi w płynie, który zostawia.

Z błogosławieństwem obojga gospodarzy wyszła lekarka z chałupy. Michaś postępował za nią; na drodze mieli się rozejść w dwie przeciwne strony: ona do żerdzińskiego dworu, on do wilczańskiego pałacu.

— Przecie, że pana znajduję, — ozwał się ktoś, idący gościńcem.

Był to chłopak kredensowy z Wilczanki.

— Jaśnie pan rozkazał wczoraj szukać pana, a oto list od niego.

Michaś wziął list i począł go czytać z zajęciem.

— Panno Jadwigo, — zawołał, podając jej pismo — pan von Kramst ma rycerskie serce, pomyliłem się.

Jadwiga przebiegła spiesznie oczyma krótką treść listu.

— Wiedziałam, że on szlachetnym jest, — rzekła w duchu do siebie, — ja nie pomyliłam się.

Teraz rozeszli się. Panna Zapolska udała się topolową drogą, prosto do domu; szła zamyślona.

Przy zakręcie spostrzegła w oddaleniu idącego naprzeciw siebie Stanisława. Była chwila, że ją coś w tył pchnęło, jakby się cofnąć chciała przed tym kuzynem swoim: ogarnął ją przestrach, z którego nie umiała zdać sobie sprawy. Lecz zaraz myśl jakaś zagórowała w niej nad tem przelotnem wrażeniem niepokoju.

— Obowiązek, to spokój! — pomyślała — Stanisław, brat mój!

A Kruszewski poznawszy Jadwigę biegł teraz do niej.

— Kuzynko, — ozwał się, przywitawszy się z nią, — jechałem tu w wielkiej trwodze, bo rozgadywano, Bóg wie co, o Żerdzi, ale uspokoił nas Dąbrowski; mówię nas, bo w licznem przybybywam towarzystwie: jest pani Goldwein z córką, jest baron Wender, masz gości, kuzynko.

Tak mówiąc, przyglądał się Jadwidze.

— Co ci jest? — zapytał — ty cierpisz kuzynko?

— Tak, dobry kuzynie.

Kruszewski pobladł.

— Kuzynko, pozwól mi walczyć z twem cierpieniem — szepnął.

A ona uśmiechnęła się doń — i ujmując go za rękę:

— Kochany kuzynie, — odrzekła — to chwilowa niemoc, która wnet przejdzie... Muszę być silną! — dodała — inaczej praca moja obróciłaby się w niwecz, zwłaszcza teraz, gdy w Żerdzińcach odezwał się wrodzony, dziki instynkt.. Tak, kuzynie, żerdzińcy chcieli zamordować właściciela Wilczanki — i gdyby nie Opatrzność, byliby go zamordowali. — I w krótkich słowach opowiedziała mu scenę nad rzeką.

— Daniel! — zawołał młodzieniec, gdy mówić przestała. — O! mój cudowny Danielu w lwiej jaskini! — mówił zarumieniony uwielbieniem, które mu żywo popędziło krew z serca do twarzy — to wszystko dla ludzi, a co dla ciebie?...

— Dla mnie? — powtarzasz pytanie, które mi dziś zadał dziadek; zdaje mi się, że mu odpowiedziałam: ja i ludzie, to jedno, co dla ludzi to i dla mnie.

— Na twą wyłączną własność, kuzynko, szepnął młodzieniec.

— Czegóżbyś dla mnie pragnął, kuzynie?

Czego on pragnął dla niej?..

VIII.

Stanisław pochodził z okolic Wilna, gdzie posiadał niezgorszy majątek ziemski. Przed dwoma laty, w celu nabycia dóbr, przybył do Królestwa, a przypomniawszy sobie, że miał tu krewnych, odszukał ich i zgłosił się do nich. Byli to Starzyńscy, spokrewnieni z nim przez jego matkę, siostrzenicę Starzyńskiej.

Serdeczne przyjęcie, jakiego tu doznał kuzyn, litwin, i niewysłowiony urok kuzynki Jadwigi, przykuły go odrazu do Lubelskiego. Stanisław począł szukać majątku w okolicy Żerdzi — i zdarzyło się tak, że wtedy właśnie Kruszewo wystawiono na sprzedaż. Stanisław bez namysłu przyjął warunki kupna tego majątku, dziwnie bowiem zapragnął zbliżenia się do tych krewnych swoich. Pociągnięty urokiem kuzynki Jadwigi, dla niewyraźnych nadziei, które zrazu bezwiednie począł żywić w sobie, osiedlił się niebawem w nowonabytych dobrach, a sąsiedztwo z dworem żerdzińskim było dla niego, na początek, jakimś szczęśliwym wstępem do czegoś, co go nęcić poczęło. Owóż, krewnemu i sąsiadowi łatwem się stało zawiązanie ścisłego, serdecznego stosunku, jak z dziadkami, tak z ich wnuczką, a wkrótce młodzieniec był w żerdzińskim dworze, jak u siebie.

Staruszkowie pokochali go serdecznie, Jadwiga znalazła w nim brata.

Kruszewski, nie zdający sobie na razie sprawy z tych uczuć rodzinnych, które przybrały osobliwie gorący charakter w jego sercu, przyszedł z czasem do przeświadczenia, że tylko taka kobieta, jaką jest Jadwiga, ziścić może wszystkie sny i marzenia poety, wszystkie rachuby pozytywisty.

Powiedział jej to:

— O, mój drogi kuzynie — odrzekła Jadwiga — przeceniasz wartość moją, a w tem widzę tylko twe przywiązanie do rodziny. Wiedzże, iż dziadkowie mają ciebie za doskonałość, a ja pragnę twoje braterstwo odpłacać ci zawsze najtkliwszem uczuciem siostry.

Stanisław pojmował już stan swego serca: to, co Jadwiga nazwała jego braterstwem, było gorącem uwielbieniem dla tej kuzynki, było pierwszem, głębokiem, a gwałtownem zawrzeniem wszystkich jego władz duszy i zmysłów, wobec najczystszego ideału i tej niezrównanej wabności, dwóch potęg niewieścich, które go ujarzmiły. On kochał Jadwigę inaczej niż brat, kochał ją miłością taką, która czuje potrzebę trwania w nieskończoność, choćby na nią spadła zasłona nie przepuszczająca ani promienia światła; miłość taka, w braku nadziei, byłaby również wielką — po święceniem, lecz nie mogła już zmienić kierunku. Jadwiga stała się nurtem jego serca, inne uczucia były to tylko dopływy.

I wyznał jej, że ją kocha inaczej, niż siostrę.

Panna Zapolska, odważna i energiczna kiedy szło o ludzi, w osobistych swych sprawach dawała się opanowywać dziewiczemu zalęknieniu, gdy nawet niczego obawiać się nie było potrzeba; lękliwość ta była w układzie jej czysto kobiecej natury.

Wyznanie Stanisława przestraszyło ją. Dotąd nawet w marzeniu nie zestawiała z nikim siebie, na to życie we dwoje. Sny jej dziewczęce obejmowały zwykle działalność obowiązkową, w którą się wcześnie włożyła, która stała się normą jej żywota. Jadwiga zgarnęła w sobie horyzont wyobrażeń w chrześciańską jedność; z tego widnokręgu ściągała sposoby wcielania królestwa nie tej ziemi, w namiętności tej ziemi, a dotychczas nie przyszło jej na myśl, żeby odszukiwać czegoś na swój wyłączny użytek, na swe wyłączne szczęście. Ztąd wynikły w niej: głębokość i skupienie myśli przy wszelkich zadaniach, dotyczących ludzi. Ta miłość chrześciańska, jak powietrze ześrodkowała w niej siły organiczne duchowe tak, że dotąd nawet temperament nie podnosił w niej nigdy rokoszu, jakby młodość jej posiadała byt odrębny, zaokrąglony, wyjęty z pod praw ogólnych.

Przy zalęknieniu, które wywołały oświadczyny kuzyna, Jadwiga doznała zdziwienia. Ten kuzyn zbudził w niej coś, co z jej piersi przemawiało, że ona jest młodą, piękną, a nie jest zoolitem niewieścim.

— Tak, — mówiło w niej coś — trzeba żeby kwitły kwiaty, śpiewały ptaki, świeciły w nocy gwiazdy, trzeba, żeby miłość promiennem pasmem owinęła się w koło serc ludzkich, bo miłość, to jasność w najczarniejszej godzinie, to chromatyczne marzenie, które Bóg zsyła na odpoczynek głowie, skołatanej myślą, to tęcza po uraganach, to czarodziejski ton wśród jęków i zgrzytań nędz tego świata, to oaza po drodze w piaszczystej pustyni.

Jadwiga uczuła nagle niewysłowioną jakąś tęsknotę, gniotącą jej duszę. Życie bez tej miłości wydało się jej teraz, niby Sahara pomalowana na zielono, niby sfinx bez zagadki.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Teatr.

Dawno zapowiadaną i oczekiwaną *Pepę*, przedstawiono, nareszcie, w zeszłym tygodniu po raz pierwszy na scenie teatru skarbkowskiego. Jest to komedja, można powiedzieć, w ścisłem znaczeniu, salonowa i to zaczerpnięta z atmosfery tych paryskich salonów, w których często, niby się coś dzieje, a w rzeczywistości nic się nie robi. Autorowi *Pepy* są panowie Meilhac i Gonderax, przekładu na polski język dokonał niewiadomy nam tłomacz i zrobił to dość dobrze. *Pepa*, jest istotnie, *komedją*, ale, aby miała być głęboką, jak to się niektórym recenzentom zdaje, na to się w żaden sposób zgodzić nie można. Ani treści, ani motywów, ani charakterów, ani nawet namiętności nie ma w niej na tyle, aby mogła być utworem głębszym — oprócz zwykłego romansu i miłostek, nic się w niej nie dzieje, a tego rodzaju, niby charakterystyczne postacie, jak ów dyplomata, czy prezydent jakiejś tam filigranowej zaoceanowej rzeczypospolitej, jest za dorażny i za epizodyczny — równie, jak jego dwóch biurowych pomocników, aby miały prawo do typów w komedji, a chociażby już nawet do postaci o pewnym charakterystycznym rysunku. Zaletą *Pepy* jest pewien przyzwoity, czasem aż trochę nudny spokój i dobry rysunek dwóch niewieścich postaci: Pepy i pani Chambreuil — więcej nic.

Tytułową rolę grała u nas panna Pysznik i pomimo usilnych starań, grała ją słabo. Jeśli się wszystko robi, co można, a nie można, no to nie można — o tem panna Pysznik pamiętać powinna. Talent panny Pysznik ma i tak szeroki zakres ról - po co ta chwytanina wszystkiego, gdzie chociaż toaletą zabłysnąć można — tego rodzaju łakomstwo może bardzo zgubne skutki sprowadzić...

Panna Pankiewiczówna w roli pani Chambreuil okazała piękne strony swego talentu. Dość pobieżnie rzuconą w komedji postać kochającego się Guerch'a, odegrał p. Kwiecinski z tym talentem niepospolitego artysty, którego widać i w drobnostkach.

Nie wielką rolę dyplomaty, grał p. Frenkel z humorem, a p. Woleński był przyzwoitym marnotrawnym mężem. Kilka jeszcze rólek było drobnych i nieznacznych.

Występy gościnne w operetce na skarbkowskiej scenie pani Bocskay, niedawno jeszcze ulubienicy lwowskiej publiczności, cieszą się powodzeniem. Pani B. ładnie wygląda i nie straciła nic ze swego ujmującego temperamentu i wyrazistej gry. Występ jej w *Boccacio* i *Donnie Juanicie* był dowodem wymownym tego, cośmy wyżej powiedzieli — szkoda, wielka szkoda, że talent pani Bocskay nie potrzebnie zalega pole — scena dla niego stoi otworem — trzeba na niej rwać kwiaty dopóki rosną i dopóki artystka rwać je może...

W cztery oczy, jest 1-aktowa komedja Fulda, tłomaczona z niemieckiego, którą po raz pierwszy w bieżącym tygodniu u nas przedstawiono. Ładny to, pełen ruchu, wdzięku i prawdy obrazek. Odegrany został koncertowo przez panią Stachowicz i p. Zawadzkiego, którym w roli starego sługi, doskonale akompaniował p. Dębicki.

Jednoaktowa operetka *Dorota*, którą także po raz pierwszy tego samego dnia przedstawiono Stara to operetka Offenbacha nie grana u nas jeszcze nigdy, jest ze słabszych tego mistrza lekkiej i powabnej muzyki. Odśpiewali ją i odegrali z werwą pani Radwan, panna Heinrich, oraz pp. Laskowski i Kiczman.

Telegramy »Iskry«.

Berlin. Książe Bismark przysłuchując się z fonografu Edissona własnemu głosowi, nie poznał go i rzekł zaraz: „nie dziwię się temu, bo ja, w ogóle, w ostatnich czasach nie mogę się poznać“...

Petersburg. Myślą znowu o budowaniu mostu do zgody z polakami — chęci są, pieniądze znalazłyby się — brak tylko odpowiedniego materjału i biegłych inżynierów.

Poznań. Ma być niebawem ogłoszona odezwa od komis i kolonizacyjnej, że ci z iemian, którzy sprzedali swe dobra kolonizacyjnej komisji, mogą za pośrednictwem komisji otrzymać miejsce oficjalistów u właścicieli niemców.

Toruń. Komisarz ministerjalny Rex, który tu spełnia obowiązki wyżła, z powodu utraty węchu, ma się podać do dymisji.

Warszawa. Rząd nie zgodził się na przedstawienie jenerałowej Hurkowej, aby znany historyczny pałac króla Stanisława Poniatowskiego *Łazienki*, nazywał się po rosyjsku *Bania*, co znaczy łaźnia — w skutek tego Hurko ma się podać do dymisji.

Petersburg Pobiedonoscew, ober prokuror synodu, zakochał się w księżniczce Galicyn, która, jak wiadomo, jest katoliczką i otrzymała pozwolenie powrotu do Rosji. Dowiedziawszy się o tem car rzekł: „ot tobie masz i prawosławie nasze!“...

Paryż. Nadeszła tu wiadomość, że Boulanger udaje się na stały pobyt do Brodów, gdyż w mieście tem są bardzo tanie mieszkania i wikt.

Poznań. W skutek raptownego zimna, humorystyczny *Motyl*, zmarzł na śmierć na podwórzu drukarni — *Pokraka* zaś ledwo łazi i rabuje bez żadnej ceremonji pisma humorystyczne warszawskie i lwowskie.

Drobnostki humorystyczne.

Pewien jegomość, o bardzo delikatnym słuchu, w ten sposób objaśnia szybkość głosu:

Odgłos wyrazów bez głębszego znaczenia, dochodzi nowych uszów z szybkością 340 metrów na sekundę.

Pochwała przelatuje 1500 metrów.

Pochlebstwo, jest jeszcze prędsze, bo dosięga 1800 metrów na sekundę.

Prawda przebiega zaledwie dwa metry w tym samym czasie.

Wymowny adwokat tak dzielnie broni swego klijenta, oskarżonego o skradzenie zegarka, że sąd uwalnia obwinionego.

Tego samego dnia wieczorem słychać odgłos dzwonka u drzwi mieszkania adwokata.

To właśnie obwiniony, który dziękując za obronę dodaje jeszcze:

— Kiedy już pan adwokat uwolnił mnie swoją obroną, to może będzie łaskaw pomódz mi jeszcze sprzedać ten zegarek skradziony, bo sam nie dam sobie rady. Mogliby mnie znowu zaaresztować.

Miłośnik cygar otwiera cygarniczkę i zwraca się do swego sąsiada z prawej strony.

— Dziękuję — nie palę.

Właściciel cygarniczki, zbliża się do sąsiada z lewej strony.

— Bardzo dziękuję, nie palę nigdy.

— Poczęstuj kapitana, szepcze mu żona do ucha.

— O! za pozwoleniem — znam go dobrze i wiem, że on pali.

Odpowiedzi od Redakcji i Administracji.

P. Kabalok we Lwowie. Kwestja ta poruszona jest w dzisiejszej kronice. Masz pan słuszność.

Wbny Ks. Dąbrowski w Cestohowa (Ameryka). Dwa dolary na dalszą prenumeratę „Gońca“ i „Iskry“, otrzymaliśmy. Adres stosownie do życzenia zmieniliśmy.

P. Atteslaender w Krakowie. Piętnaście reńskich za drugą serję ogłoszeń otrzymaliśmy — serja ta skończy się dopiero za kilka tygodni — prenumerata zaś pana zapłacona jest do dnia 31. Grudnia b. r.

P. Lucjan K. w Krakowie. Nadesłane rysunki zużytkujemy i zapłacimy honorarjum, jeśli dobrze zejdą na kamień i będą mogły być umieszczone w numerze. Co do portretów — to damy panu listowne polecenie zrobienia jednego kredą, prawdopodobnie na przyszły tydzień

Odpowiedzialny za Redakcję i Wydawnictwo: Fr. Ks. Kowaliszyn. Z drukarni W. A. Szyjkowskiego ul. Kopernika l. 5. Telefon 117.